

V Wyprawa Fotograficzna LOFOTY 2006

W V Wyprawie Fotograficznej Lofoty 2006 brali udział: Aleksandra Mikula, Mateusz Duliński, Włodzimierz Płaneta i Ewa Kozłowska (autorka tekstu). Ola, Mateusz i Włodek rejestrowali skandynawski pejzaż, natomiast ja dopatrywałam się we wszystkim człowieka, a gdy pojawiał się nagle był ewenementem, istotą niemalże efemeryczną. Człowiek był w zasadzie nieobecny, jednakże, obecnością jego wszystko było naznaczone.

O wyprawie od samego początku

Nadmiar nastrojów podróży na promie – to socjologicznie ciekawy przypadek do obserwowania. Wyruszyliśmy. Czwórka ludzi o różnych temperamentach i różnych planach. Z radiowęzła pokładowego rzeźbi radio z polskimi przebojami, na monitorze telewizora politycy odbywają kolejne, bezsensowne debaty, a rodacy upijają się agresywnie. Skandynawia od razu zaczyna nam się jawić, jako raj, oaza spokoju i dobrych manier. Aby zająć czymś podróży kapitan ogłasza konkurs plastyczny dla dzieci. Okazuje się po fakcie, że wszystkie namalowały słońce, fale i statek bujający się ospale. Zastanawiam się, czy to koniec dziecięcej wyobraźni? Życie tu i teraz nabiera konsekwentnie rozmachu, z ulgą wysiadamy w Nyneshamn i od tej też pory zaczyna nam się zlewać dzień z nocą.

Pierwsze nasze wrażenia dotyczą typowo turystycznych i cywilizacyjnych atrakcji przemierzanych wciąż z Polską. Mateusz z Włodkiem podziwiają zabytki, odwiedzają galerie, zapominają o wszystkim w sztokholmskim pubie przy jazzowym jam session. Jest im dobrze po rodakach z promu. Ola boryka się z obowiązkami, które pozostawiła w kraju, ciężko się jej od nich oderwać, może nawet i chwilowo nie chce. Nasze pierwsze fotografie nasączone są pierwszym nieśmiałym spotkaniem ze Szwecją. Gdy później analizuję zdjęcia ze Sztokholmu to zdaję sobie sprawę, iż można je było zrobić wszędzie. Uniwersalizm miejsc? Globalizm? Nocą lądujemy w Uppsali, typowo akademickim mieście. Pomimo wakacji, wszędzie widać bawiących się studentów. Chociaż są, nie czuję zbyt ich obecności. Nietypowość nocnej turystyki wpływa na świeżość spojrzenia. Rozpoczyna się poszukiwanie idealnego światła z dalekiej Północy.

Jedziemy drogą wzdłuż Zatoki Botnickiej. Zatrzymujemy się przed wiszącym mostem na rzece Angerman. Dziwne to miejsce. Trzeba zboczyć z głównej drogi, wokół wykarczowany las z wystającymi w agonii pniami, tory kolejowe, jakaś przystań, dwa, wyglądające na wyludnione, zrujnowane domy. Jedynie szczekający pies świadczy o czyjeś obecności. I dwoje Norwegów, którzy z dziwnego powodu zatrzymali się tu na nocleg (później okaże się, iż przywiódł ich w to dziwne miejsce sentyment do przeszłości). Robimy zdjęcia. Czy można wnieść świeżość spojrzenia? Mateusz eksperymentuje z rybim okiem. Bardziej niż tonom żelastwa przyglądam się zrujnowanym budynkom. Nikt się nami nie interesuje, my też nie przeszkadzamy. Dalej jest jednak inaczej, trochę surrealistycznie. Stoimy około godziny przed zamkniętym szlabanem, mając nadzieję, że zaraz przejedzie jakiś pociąg i my ruszymy w dalszą drogę. Wreszcie decydujemy, iż trzeba szukać gdzieś pomocy. Wracamy na przekłete miejsce, tak przynajmniej zaczynamy je powoli odczuwać. Pukamy do zrujnowanych domów. W jednym z nich zastajemy kobietę, kompletnie pijaną i perskiego kota. Nie mogę od tego obrazka oderwać oczu. Kobieta z trudem siada na schodach i kot obok niej. Nie śmiem wyciągnąć aparatu. Najpiękniejsze kadry to te, które pozostają w głowie. Do próby nawiązania rozmowy przyłączają się spotkani wcześniej Norwegowie. Dzwonimy do dróżnika, okazuje się, że szlaban podniesie dopiero za kilka godzin. Absurd sytuacji pozwala nam jednak spotkać ludzi. Zdeterminowani, wraz z uczynnymi Norwegami, ręcznie

podnosimy szlaban na tyle, że nam się udaje przejechać. Wolność. Chyba wszyscy czujemy ulgę, ja czuję również satysfakcję.

Jedziemy w kierunku Haparandy. Nie wiem, dlaczego wciąż powtarzam sobie w głowie „droga do Haparandy, to brzmi ładnie!, droga do Haparandy, to brzmi ładnie!, droga do Haparandy, to brzmi ładnie!”. Zatrzymujemy się tu i tam na chwilę. Ola, Mateusz i Włodek wspinają się na górę Skuleberget, podziwiają widoki. W pewnej chwili Ola wyciąga książki klasyków literatury skandynawskiej i od tej pory ciągle towarzyszy nam w podróży Knut Hamsun. Po drodze odwiedzamy kuźnię, w której stworzono galerię. Piękny budynek, historia, zdjęcia i rzeźba mieszają się ze sobą. Jesteśmy także świadkami festynu folklorystycznego. Tradycyjne stroje, obrzędy i potrawy, na scenie występują zespoły ludowe. W kącie jednej z chałup ktoś gra na pile. Roznoszą się smętne dźwięki. Kobieta robi chleb i bułki według starych receptur.

Doba się wydłuża. Docieramy do Gammelstad, luterańskiej wioski parafialnej. Pięćset małych domków w tym samym kolorze. Jeden przy drugim, w ładnym porządku. Znosi się na burzę, pada deszcz. Oglądamy piękną wystawę fotografii Andersa Alma, portrety mieszkańców wymierającej wioski – „The village without children”. O północy przekraczamy Koło Polarne. Dziś przenikają mi się w pamięci kadry z tamtego dnia. Łosie, a może renifery, rybak łowiący ryby w rwącej rzece, już chyba w Finlandii, Krąg Polarny, Lapończycy i Karesuando, gdzie kończy się Szwecja i droga - asfaltowa przechodzi w piaskową, tundra, droga, tundra, droga, zdaje się, że rytm naszej podróży w tamtym momencie jest właśnie taki, czasem lekki podskok samochodu, pustka, i nagle znikąd samotna osoba. Wszędzie brzoza karłowata, wierzbówka, fiolet i biel zmieszana z szarością i życiem finlandzkich uchodźców. W twarzach ludzi napotkanych po drodze szukam ich dawnych wspomnień. Odnajduję je dopiero w pustej, wietrznej przestrzeni na widokowej górze. Przenoszę to na kadr.

Jedziemy Drogą Czterech Wiatrów - elektryczność w te rejony dotarła dopiero w 1981 roku, a średnia temperatura wynosi 8°C. Docieramy do Tromso, czterysta kilometrów za kręgiem polarnym, tętni życie, skąd też wyruszały arktyczne wyprawy. W polarnym muzeum pływają fokki, a na małym targu w centrum miasta kupić można norweskie krewetki. Mżawka utrudnia robienie zdjęć. Przyciągają wzrok skandynawskie, ciepłe swetry. Ruszamy dalej, w stronę Narwiku i docieramy do portu Andenes. Szkielety wielorybów i niezliczona ilość krzykliwych mew obsiadających wszystkie domy tworzą niesamowitą atmosferę tego miasteczka. Jedna główna ulica, szeroka, z kilkoma sklepami zakończona zatoką. Zapach alg. Życie zaczyna zauważać się dopiero gdzieś po północy. Ta dziwna ospałość miasta w połączeniu z jazgotem mew tworzą specyficzny klimat. Na wyludnionej plaży, na które rozbijamy się na nocleg panuje cisza. O niezmienności tego miejsca świadczy fakt, że Włodek bez najmniejszego wysiłku odnajduje w tym samym miejscu wyrzuconą przez morze marynarską linę, którą już napotkał na swojej wcześniejszej wyprawie. Unikalność tej plaży i chwil, jakie tam spędzamy, wydaje się być oczywista, gdy pomyśli się o krzykliwym i przeludnionym wybrzeżu, dajmy na to, Morza Śródziemnego.

Robimy częste przystanki, woda, chmury i fiordy potęgują wrażenia. Dochodzą zapachy: zbutwiała ziemia, korzenie i liście. Dojrzałe jagody i maliny norweskie. Ślady zwierząt. Morski piasek w butach. Przyroda. Fotografujemy renifery, które chyba najbardziej fascynują nagłym pojawieniem się w przedziwnych miejscach, a później całkowitą ignorancją naszej obecności. Stojąc nad stromym brzegiem czuję dziwną tęsknotę. Knut Hamsun pewnie powiedziałby, że typową dla ludzi z morskim horyzontem. Chociaż, ja wcale nie za morzem tęsknię, lecz za Aurorą Borealis - rosną nasze apetyty na powrót za krąg polarny również o innej porze roku.

Słowa Knuta Hamsuna łączą nam się z muzyką Mari Boine i tak, jak Hamsun, Mari Boine towarzyszy nam już do końca podróży. Gdy docieramy do Henningsvaer świeci piękne

słońce. Domy z łuszczącą się farbą, rdza na kutrach i zbutwiałe drewno – wszystko jest pełne uroku. Gdzieś jakaś roślina i mała, zagubiona mewa. Robię zdjęcia opuszczonym wnętrzom domów. Odcisnięte, podarte kanapy, kuchenka gazowa, a na niej pozostawiony brudny garnek, wyblakłe tapety na ścianach, wybite okna, przez które wiatr bawi się porwaną firanką.

Pamiątkowe zdjęcie w miasteczku A kończy naszą fotograficzną pracę na Lofotach. Z Svolver płyniemy do Skutnuk. Knut Hamsun żył i tworzył w tych okolicach. Myślę o Golfströmie, sztokfiszach i rorbuerach, a także o domu wiejskiej artystki obwieszonym dziełami sztuki z resztek wieloryba, który widziałam kilka dni wcześniej. Opuszczona, drewniana chata na końcu wsi, torfowy dach, taka Sellanra, tylko, że blisko drogi. Skandynawskie błogosławieństwo ziemi.

O północy docieramy do Jakobsbakken, opuszczonej górniczej wioski położonej wysoko w górach. Wioska przywodzi na myśl Edgara Poe, może także filmowe Twin Peaks. Ponownie przekraczamy Koło Polarne, krajobraz malowniczy - zwyczajowo ustawiamy pamiątkowego trolla. Wieczorem idziemy szesnaście kilometrów do schodzącego do jeziora czoła lodowca Svartisen. Wracamy po północy pełni pozytywnych wrażeń i zdjęć. Cieszę się, to był dobry dzień, to dzień moich urodzin. By nie tracić czasu wyruszamy w stronę Trondheim. Po drodze zatrzymujemy się w Stiklestad, gdzie w 1030 roku zginął król Olaf II dając tym samym początek nowej historii. Teraz odbywa się tam festiwal wikingów. Na trasie kusi nas podupadająca stodoła. Gdy ją fotografujemy spotykamy również jej właściciela.

Przed nami już tylko Droga Trolli oraz Geirangerfjord. Ze szczytu Dalsniba fotografujemy ponoć najpiękniejszy widok świata, tak przynajmniej komunikują nam przewodniki. Jedziemy dalej drogą, wokół której mgła i krajobraz księżycowy, skalne pustynie i lodowce. Jest zimno. Zjeżdżamy do Lom, gdzie zwiedzamy Stawkirke. Później zatrzymujemy się przy kolejnym, mniejszym i mniej turystycznym kościele. Ola kładzie się na murawie parafialnego cmentarza. Jest w tym coś odkrywczego, coś innego, co mnie fascynuje. Przyglądam się jej, jak później długo fotografuje ten kościółek z własnej perspektywy. Mateusz także daje się ponieść urokowi miejsca, poświęca się architektonicznym szczegółom. Mnie zachwyca zapach drewna, chociaż kojarzy mi się on niespokojnie. Chodząc po cmentarzu przyglądam się nagrobkom. Powtarzają się wciąż te same nazwiska. Robię zdjęcia płytom nagrobnym. Jest już późno, więc wyruszamy dalej w drogę, zatrzymujemy się, by sfotografować mgły układające się malowniczo na norweskich łąkach. Mateusz w ferworze pracy wpada w bagno. Myślę sobie zabawnie, iż nie wiem, na ile była to jego nieuwaga, a na ile dowód na istnienie trolli.

Pod lodowcem Jostedalbreen panuje turystyczna atmosfera, ale dla łowców pięknych widoków jest przychylne światło. Lodowe jezioro kusi kolorem i spokojem tafli. W drodze do Oslo zwiedzamy Villę Fridheim. Rubaszne freski na ścianach, zapach folkloru. Oglądam z Włodkiem stare albumy norweskich rodzin z początku dwudziestego wieku. Na jednym ze zdjęć cała rodzina stoi stłoczona na tratwie. Pośrodku trumna, wszyscy ubrani odświętnie. Przeprawią się zaraz na drugą stronę jeziora, może rwącej rzeki, do cmentarza. Trumna jest z nieociosanego drewna, ludzie mają dumę na twarzach.

Oslo, pomimo swojej nowoczesności i wielkości miasto zachowało spokój, sielskość typową dla prowincji. Jedziemy na prom do kraju, towarzyszy nam deszcz i Mari Boine. Przez moment z muzyką w samochodzie widzę przez mokre szyby dwa konie bawiące się na mokrej łące, taka wolność, kicz, a jednak, coś w tym jest, dobrze komponuje się z muzyką etniczną. Jedziemy powoli, nikt więcej oprócz mnie tego nie widział, chyba - nie dzieje się tym widokiem. Dziś przypominam sobie często tę chwilę. Mari Boine. Lofoty 2006.

Ewa Kozłowska